

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 5 marek (za odnośnienie do domu dopłaca się 25 fenig. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 6 marek

OGŁOSZENIA: wiersz nonpareilowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 2½ mark.; na 1 stronie okładki 1 mark. 50 fenig.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 75 fenig.; na 3-ej stronie okładki 65 fenig. Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 1 mark. 90 fen. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 25 m., przy Nadesłanych 20 m.; na ostatniej stronie 17 m. 50 fenig. i wewnątrz 15 marek. Artykuły reklamowe 437 marek 50 fenigów za stronę. Załączniki zwykłe po 25 marek od tysiąca.

Adres Redakcyi: WARSZAWA, SZPITALNA 12,
Administracyi: Krakowskie - Przedmieście 66.
FILIA W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń
„PROMIEN”, Piotrkowska № 81.

ŚWIAT

Rok XII. № 44 z dnia 3 listopada 1917.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



TOW. AKC.

BRACIA JABŁKOWSCY PRACKA 25

POLECA: WĘŁNY,
DAWĘŁNY,
JEDWABIE,

BIELIZNĘ I GALANTERJĘ:

DAMSKA,
MĘSKA,
DZIECIĘCA,

WYPRAWY ŚLUBNE od 1000 MK.

OKRYCIA
BEKIESZE
KOSTYMY
SUKNIE
BLUZKI

SUKIENKI DLA PANIENEK-UPRANKA DLA CHŁOPCÓW-BEKIESZE I PALTOTA DLA PANÓW

OBUWIE:
DAMSKIE I
DZIECIĘCE

10417

TRIUMVIRI.

W ubiegłą sobotę, dnia 27 października, odbyła się wielce uroczysta intromisja Regentów państwa polskiego.

Miasto uroczystie wystroiło się we flagi narodowe, a w staromiejskiej dzielnicy pozamykano sklepy. Pod niebem łagodnym zebrały się tłumy wzdłuż ulic Miodowej i Świętojańskiej, utrzymywane w karbach przez sznury wojska polskiego, młodego a już bohaterskiego. Regentowie wyjechali dwoma powozami z arcybiskupiego pałacu i zajechali do Zamku Królewskiego przez Bramę Grodzką. W sali rycerskiej nastąpiło spotkanie Regentów z generalnymi gubernatorami niem. von Beselerem i austr. hr. Szeptyckim. Krótkimi przemówieniami powitali przedstawiciele władz okupacyjnych nasze Zwierzchnictwo. Regent Ostrowski na powitanie odpowiedział i okrzykiem odpowiedź zamknął na cześć dwóch potężnych cesarzów.

Potem udali się powozem pod honorową eskortą ułanów polskich z Królewskiego Zamku Regenci nasi do Katedry metropolitalnej, poprzedzeni przez pułkownika Januszajtysa. Tu ks. biskup Zdzitowiecki przysięgę na wierność Ojczyźnie od nich przyjął i pięknym kazaniem wzruszył skupiony tłum delegatów. „Te Deum lauda-

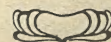
mus” podniosło się ku starym stropom, o które niegdyś odbijały się prorocze przestrogi Skargi. Już w tym czasie rozklejano na murach miasta obszerną i rozważliwą pełną odezwę Regentów do narodu.

Radosny marsz legionów Dąbrowskiego wita Regentów, wracających na Zamek. Tu przemawia do nich były wicemarszałek Rady Stanu, p. Mikułowski-Pomorski, porównując prawdziwie i mężnie dzisiejszą sytuację Polski z momentem jej upadku. Regent ks. Lubomirski wyraża swoją wiarę w samozachowawczy instynkt narodu. Potem regent arc. Kakowski słowa Skargi przypomina i wzywa naród do skupienia się wokół rządu, — abyście wspólnymi siłami „co się do upadku pochyliło — podparli, co się skaziło — naprawili, co się zraniło — zleczyli, co się rozwiązało — spoiли, i o dobru i o spokoju braci i członków waszych spodem obmyślali”. Jeżeli tego i teraz zaniedbamy — „próżno byście czekali zmiłowania i litości obcych”; „nie nakarmią was waszym chlebem; z głodu pomrzecie; nie odzieją was waszą suknią i nadzy będziecie; wasze słońce nie dla was świecić będzie; wasza ziemia nie dla was będzie rodzic. Okruszymy ze stołu pańskiego zjadać będziecie”.

W końcu ks. Andrzej Lubomirski, poseł i delegat Koła Polskiego, i właścianin p. Sadlak hold Regentom złożyli. Regent ks. Lubomirski wzniósł jeszcze okrzyk na cześć Legionów. I popłynęła pieśń „Boże, coś Polskę”. Przed wpół do trzeciej intromisja się zakończyła.

Taki przebieg, w możliwym skrócie tu zanotowany, miały sobotnie uroczystości. W ramach ściśle i z góry ujętych je zamknięto. Odważono każdy gest, każde słowo. Nie było tu, i być nie mogło, nic samorzutnego. Rozmysł powinien był uregulować wszystko i to uczynił. Trzeba było dać miejsce w pierwszej linii rzeczom koniecznym. Trzeba było formalności niezbędnych dokonać, które jednak ożywiła tym razem głęboka świadomość potęgą dziejowej dokonywanego aktu formy. Uroczystość miała należytą powagę i nawet surowość, nie zmartwiała jednak ani na moment w suchą sztywność.

Nie brakowało przecież momentów, kiedy żywa dusza narodu, o swej indywidualności zaświadczając, zapulsowała rytmem myśli oryginalnej i głębokiej, narodowej woli i narodowemu uczuciu składając świadectwo. Zawdzięczamy to przede wszystkim ks. arc. Kakowskiemu i prof. Mikułowskiemu-Pomorskiemu. Umieili oni, w ramach programowego święta, znaleźć słowa, które historia podejmuje i które zostają.





Najjaśniejsza Rada Regencyjna: Józef Ostrowski, Arcyb. Metropolita Al. Kakowski, Książę Zdzisław Lubomirski, Ks. Z. Chelmicki (sekretarz Rady Regencyjnej), pułkownik Januszajtys, kap. Kukiel,

Fot. Maryan Fuks.



Szwadron ułanów 2-go pułku jako eskorta honorowa na uroczystości intromisji.

Fot. Maryan Fuks.



Generał-gubernator v. Beseler i generał-gubernator Szeptycki, jadą na uroczystości intromisji.

Fot. Maryan Fuks.

Intromisja Najjaśniejszej Rady Regencyjnej Królestwa Polskiego d. 27 października r. b.



Delegaci Rządu Austriacko-Węgierskiego na uroczystości intromisji Rady Regencyjnej: 1) baron Ugron, 2) baron Konopka, komisarz austriacki przy b. T. Radzie Stanu i 3) pełnomocny minister O'Corol. *Fot. Maryan Fuks,*



Przedstawiciele państw neutralnych w drodze do Katedry: Konsul perski Wertheim i konsul duński Eiger. *Fot. Maryan Fuks,*



Pracownicy oczekują u drzwi Katedry na przybycie Najjaśniejszej Rady Regencyjnej. *Fot. Maryan Fuks,*



Fot. Maryan Fuks.

Pochód Delegacji do Zamku, po przysiędze Rady Regencyjnej w Katedrze.



Warta honorowa legionów u drzwi Królewskich na Zamku, podczas uroczystości.
Fot. Maryan Fuks.



Sztab oficerów legionów powraca z uroczystości przysięgi Rady Regencyjnej w Katedrze.
Fot. Maryan Fuks.



Plac Zygmunta i przyległe ulice zapełnione były tłumnie podczas uroczystości
Fot. Maryan Fuks.



Warta honorowa ułanów nienieckich jedzie po generał-gubernatorów po uroczystości.
Fot. Maryan Fuks.



Pułk. Zieliński wraz z pułk. Sikorskim i sztabem legjonów, po uroczystości wydaje rozkazy ściągnięcia wart z Placu Zamkowego i ulicy Święto-Jańskiej.
Fot. Maryan Fuks

Pogorzelnisko Kłodawy.



Dnia 3 października pożar zniszczył miasteczko Kłodawę.

Z dziejów prześladowania Unji na Podlasiu.

Rosyjska zachłanność i brak tolerancji religijnej będą jeszcze na długie lata tematem przykrych i bolesnych wspomnień. Chciano gwałtem z ziemi podlaskiej uczynić forpocztę prawosławia. Przypuszczano, że mając do rozporządzenia wszystkie środki współczesnego imperialistycznego państwa, uda się za jednym zamachem żelaznej pięści zdusić wielki unji. Nie udało się ta polityka.

Prześladowano wiernych wyznawców unji. Podpalano wsie, gwałtem pędzono do cerkwi, kazano odbierać dzieci matkom, wypędzano na Sybir całe rodziny — i cóż osiągnięto?

Przelano krew i ciężka męka wyżyłobiła w duszy ludu podlaskiego jeszcze tym większą miłość. Nie pomogły też medale ani ruble.

Zdradziecko, judaszowo kusili nagnani parochowie-moskale. I to zawiodło. Ukaz tolerancyjny powrócił na łono katolicyzmu te gwałtem chrzczone na prawosławie dusze.

Chwycono się więc środka innego. Zaprojektowano wydzielenie „Chełmskiej gubernji“. I znów jaki rezultat! Na całym obszarze, jak wykazała ostatnia statystyka, znalazło się zaledwie kilka procent nagnanych włościan, którzy oświadczyli się za nową orientacją siczową. Wogóle wszelkie zakusy na Chełmszczyznę wydadają rezultaty wręcz odmienne od oczekiwanych.

Oczekiwał też Marceł Popiel, że lud podlaski zdradzi swoje dawne sztandary. Upewniał jednak Aleksander II podlasiaków: „Daję wam słowo cesarskie, że nie pozwolę nikomu zmienić ani naruszyć waszej wiary“ (str. 39). Ale już hr. Kotzebue jako gen.-gubernator odpowiedział deputacji katowanych unitów:

„Każda wiara jest dobrą, prawosławie nie gorszą od innych“.

P. Zofia Bukowiecka zebrała gilarandę faktów z dziejów tych walk o prawo wyznawania wiary katolickiej na Podlasiu i podała je w szeroko dostępnej, popularnej formie. Mówią tu nazwiska tratowanych, katowanych jednostek, całych pięć dekanatów, Janowski, Włodawski, Sokołowski, Radzyński i Bialski — to obraz krwawego widma, które straszyc będzie jeszcze wiele pokoleń i przypominać nie przestanie o jakości rządów carskich.

Książka p. Zofii Bukowieckiej zasługuje na szerokie rozpowszechnienie. Jest ona najlepszym wskaźnikiem orientacji dla wszystkich tych, co i dziś jeszcze przypuszczają, iż uda się gwałtem lub podstępem oderwać lud od pnia macierzystego unji i państwowości polskiej.

Ś. p. Władysław Wóycicki.

Szeł szkolnictwa średniego przy Departamencie Oświaty, inż. Władysław Wóycicki, zmarł w 39 roku życia.



Jako pedagog cieszył się powszechnym uznaniem. Jego daram organizacyjnym zawdzięcza szkolnictwo polskie sprawność funkcjonowania od pierwszej chwili okupacji niemieckiej na ziemiach Królestwa Polskiego.

Brał bardzo czynny i energiczny udział w Depart. Oświaty byłego Komitetu Obywatelskiego. Gdy Rada Stanu organizowała Dep. Oświaty, powierzono ś. p. Wóycickiemu odpowiedzialne stanowisko referenta spraw szkolnictwa średniego.

Został pochowany na Powązkach.
Cześć jego pamięci!



Odczyty publiczne w Towarzystwie Psychologicznem.



Dr. WŁ. TATARKIEWICZ, prof. Uniwer. Warszaw., mówi: „O szczęściu i teorjach szczęścia“.



Dr. JAN ŁUKASIEWICZ, prof. Uniwer. Warsz., wyowiada odczyty: „Na drodze do nowej logiki.“



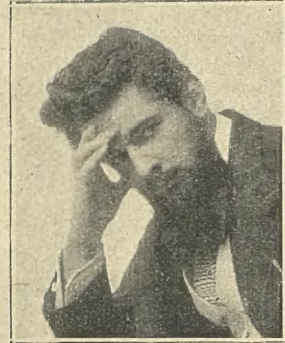
Dr. ADAM ZIELEŃCZYK, wyjaśnia zasadniczo „Etykę wojny“



P. A. CYGIELSTREJCH, asystent Warsz. Inst. Psycholog., mówi na temat: „Hypnotyzm i sugestja.“



Dr. ART. CHOJECKI, prof. Wolnej Wszech. Pol., wykłada: „Telepatji i medjuszizm w oświatli. krytycz.“



Dr. WACŁAW RADECKI, prof. Wolnej Wszech. Polskiej wyjaśnia: „Psychologia społecz. i tłum.“

100-lecie Instytutu Głuchoniemych w Warszawie.



Uroczysty akt poświęcenia i odsłonięcia tablicy pamiątkowej ks. Falkowskiemu, założycielowi Instytutu.

Członkowie Rady Miejskiej m. st. Warszawy w karykaturze.

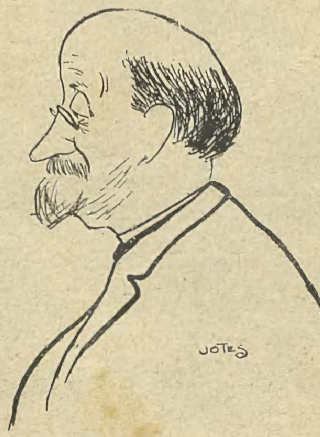
Rysował Jerzy Szwajcer.



Stanisław Hirszel.



Juliusz Muttermilch.



Dr. Samuel Poznański.



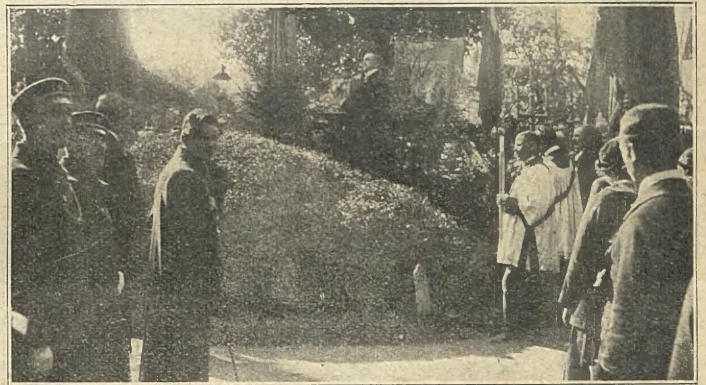
Ignacy Baliński.



W Łomży odbyła się uroczystość Kościuszkowska, podczas której przemawiał p. S. Skarbek-Woczyński, ziemianin, oddając cześć „Wielkiemu Wodzowi ducha, czynu i demokracji”.
Fot. E. Zajęczkowski



Założenie kamienia węgielnego pod pomnik Kościuszkowski w Otwocku. Uroczystości przewodniczył burmistrz, p. Wróblewski. *Fot. „Moró”*.



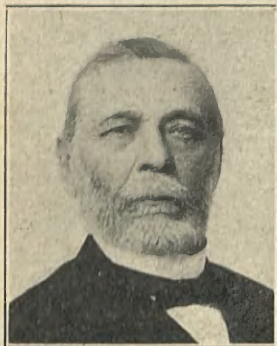
Podczas uroczystości Kościuszkowskiej w Siedlcah, przemawiał z trybuny do zgromadzonych p. F. Godlewski.



Obchód Kościuszkowski w Brzezinah: Radny miasta Brzezinah p. Bursa wraz z Komitetem obchodu energicznie przeprowadził dwudniowe uroczystości, podczas których odbyło się nabożeństwo w kościele Farnym, następnie odczyt p. Chorzelskiego, oraz przedstawienie w domu straży ogniowej.

Ś. p. Aleksander Temler.

W dniu 22 b. m. rozstał się z tym światem w sędziwym wieku jeden z najzasłużniejszych obywateli naszego miasta, ś. p. Aleksander Temler.



Urodził się w Warszawie w r. 1825 z ojca Jana i matki Anny z Francków. Ukończywszy szkołę średnią, udał się dla wydoskonalenia w swoim zawodzie za granicę. Po powrocie do kraju, bogaty zdobytem doświadczeniem, obejmuje od-

daną mu przez ojca fabrykę i prowadzi ją dalej wraz z bratem Karolem i przyjętym do spółki najserdeczniejszym przyjacielem swoim, Ludw. Szwedem, w znacznie rozszerzonym zakresie pod firmą: „K. A. Temler i L. Szwede”. W r. 1878 przekształca ją na Towarzystwo Akcyjne, którego zostaje gorliwym i światłym prezesem.

W ciągu długiego i zasłużonego żywota zajmował też różne ważne postępowki pracy narodowej. W r. 1862 za prezydentury Kazimierza Woydego był członkiem ówczesnej Rady Miejskiej. Jako taki czuwał nad rozwojem szkół elementarnych, sprawdzał stan robót i dostaw miejskich, kontrolował i badał sanitarne warunki więzień, na które ogólnie wówczas się skarżono. W stowarzyszeniu garbarzy piastował urząd Starszego. Był głównym inicjatorem i założycielem Ka-

sy Pożyczkowej Przemysłowców Warszawskich, Sędzią Trybunału Handlowego, współzałożycielem Banku Handlowego, jednym z założycieli Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, członkiem przez lat 32 Komitetu Nadzorczego Towarzystwa Kredytowego Miejskiego, uczestnikiem Komitetu Dyskontowego Banku Państwa. Prócz tego należał do Kollegjum Zboru Ewang.-Augsb., był kuratorem Schronienia dla kalek i nieuleczalnych i czynnym opiekunem Osad Rolnych w Studzieńcu. Hojną ofiarą przyczynił się do odnowienia pomnika króla Zygmunta III i wraz z Janem Tadeuszem ks. Lubomirskim organizował spółki rzemieślnicze i pierwsze Kasy Pożyczkowe dla drobnego przemysłu, poświęcając im wiele czasu i trudu. Cześć jego pamięci.



Jungstrahm 1/2 Watowe

dają *dzienne* zosrodkowane światło przy *dużej* oszczędności prądu

10376

BOGUSŁAW HERSE

WARSZAWA, Marszałkowska 150



SUKNIE
KOSTJUMY
PLASZCZE
FUTRA
MUFKI - ETOLE
KAPELUSZE

BLUŻKI
REKAWICZKI
PONCZOCHY
TRYKOTAZE
CIEPLE

WEŁNY
JEDWABIE

WSTAŻKI
TAŚMY
PRZYBRANIA
KORONKI

FIRANKI
KAPY NA ŁOŻKA
KILIMY
KOBIERCE
WSCHODNIE

1917 JESIEŃ 1917

10419

PRACOWNIA
Krawiecko - Kuśnierska

Br. UNKIEWICZ

WARSZAWA
Hoża № 54.

Poleca: Palta, Okrycia, Kostiumy, Spódnice, Futra, Kołnierze, Mufki.

Wielki wybór - Najnowsze fasony.

10396

Bracia Borkowscy

FABRYKA I SKŁADY ELEKTROTECHNICZNE

WARSZAWA

ŁÓDŹ

Jerozolimska 56

Piotrkowska 125

Artykuły elektrotechniczne, jako to: lampki, przewodniki, rurki i materiały instalacyjne w wielkim wyborze stale na składzie.

10420

NOWOŚĆ!

Marmelada owocowa

w KARTONACH 1/2 i 1/4 f., oraz w SŁOIKACH 1/2 kil.

TOW. AKC.

Józef Werner, Cyrański i S-ka.

Żądać wszędzie. Hurt w firmie
SUTKOWSKI i RASZEWSKI,
Marszałkowska № 149 (wejście od Próżnej).

10411

LOSOWANIE

Pożyczek Premjowych krajowych i zagranicznych
sprawdza bezpłatnie Kantor Bankierski

Józef Skowronek i S-ka, Warszawa, Bielańska № 2 (róg pl. Teatralnego).

Kupno i sprzedaż:

Pieniądzy zagranicznych oraz papierów procentowych.

Losy loteryjne.

10416

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 3 listopada 1917 roku.

№ 44.

G. DANIŁOWSKI.

Zamach na Skalkona.

Plan ich, powzięty na własną rękę, był bardzo prosty: Nauczyć się celnie strzelać, wślizgnąć się nocą do pałacowego parku, ukryć się w klombie, zaskoczyć Skalkona na samotnej przechadzce i zbudzić widma podchorążych belwederskim wystrzałem. Ze strony partji dziewczęta nie spodziewały się współdziałania. Tymczasem wypadło im przewozić dynamit do prowincjonalnych miast.

Gdy Harna z wyprawy wróciła, zastała ręką Lzy wtajemniczonej w ich zamiary skreślone słowa:

Ma się stać to, czego pragniecie, wstąpcie do mnie...

Zrozumiawszy list, Harna doznała dziwnego wrażenia, splecionego smutku z radością. Jednocześnie podniosły się z labiryntów pamięci roje wspomnień o domu, a za ich wątlemi obłokami zapienił się gwałtownie żywy strumień wzbierającego czynu w fantastycznym korycie dumnych nienazwanych marzeń; wyżynami nieba pociągnęły jakieś rozwiewne wieści z nikąd o pięknie rzeczy, które się dzieją, staną i przekażą się jutru i dniom następnym i zamigoczą raz jeszcze w słonecznej tarczy finalnego zwycięstwa.

Lekkim, tanecznym krokiem szła Harna na wskazane miejsce. Tu właśnie zgłaszano kandydaturę do planowanego przez bojówkę zamachu.

Złożywszy swoją, Harna dowiedziała się, że jest już oferta Mary, że ochotników jest mnóstwo, ale ich szanse są bardzo dobre.

Jakoż wkrótce uszczęśliwione

dziewczyny dowiedziały się, że wybór padł na nie.

Ale los skosił różę upojenia; Marze, jako mocno zaszpiclowanej, kazano się nie tylko usunąć z roboty, ale i z miasta, i Harna musiała się rozstać z istotą, z którą projekt jednomyślnie powzięty skuli ją mocno i serdecznie.

Z godziną jej wyjazdu, w sercu Harny zgasł nagle promień entuzjazmu, zapanowała w niej jakby raptowna noc, ale w tej ciemności wyczuwała dokładnie nutę dokonania rzeczy, która miała być ich wspólnym dziełem, i mętne pragnienie, by na opuszczone przez towarzyszkę miejsce nie wstawiano jej nikogo. Chwilowo to zaćmienie trwało niedługo; zetknięcie się z Brunonem, którego przedtem nie знаła, rozwidliło jej duszę, jak snop jasnego słońca.

Oczekując na Brunona, Harna wyobrażała sobie, że ujrzy jakiegoś wielkiego fizycznie człowieka, o surowej jak głaz twarzy, ołowianem spojrzeniu, władczych ruchach, rozkazującym głose i kulila się wewnętrznie w obawie, że ten ostry człowiek niewątpliwie ją szorstkością zniechęci, w każdy magniotek urazi.

To też, gdy wszedł, ogarnęło ją zdumione zakłopotanie i rodzaj skruchy.

Przytrzymując w ciepłym, miłym uścisku jej dłoń, z pociągającym uśmiechem stał przed nią sympatycznej powierzchowności mężczyzna, szpakowaty już, o wyrazistej, dobrej, jakby nieco znużonej od pracowitej myśli twarzy mędrca.

Popatrzył.

Uderzyła ją i zachwycała odrazu przejrzysta siła jego oczu, które zdawały się ogarniać wszystko, nawskroś przenikać, dostrzegać każdy ruch rzeczy, ujmować w locie najsubtelniejsze vibracje cudzych uczuć i wrażeń.

Wyście, Hanno — mówił głosem stłumionym, zacisznym, jakby stworzonym do wypowiedzania tylko słów ważnych, tajemnic sekretnych — podobno chcecie pójść na to.

— Chcę, odparła Harna, zastaniając się rzęsami od badawczego ostrza jego spojrzenia.

Brunon przysunął się z krzesłem i jakby ze smutkiem i hamowanym wzruszeniem jął jej przekładać, że idzie na pewną śmierć, że więcej życia leży przed nią, niż za nią, że po Skalkonie będzie inny Skalkon, że ten zamach sprawy wcale nie rozstrzyga, rewolucyjną falę na mgnienie podnosi, ale o ile i jak na długo — kto zgadnie?

Jednym słowem, wbrew przewidywaniu, nie podlegał, nie namawiał jej wcale, a raczej przeciwnie, jakby przestrzegał, przedstawiając rzecz całą z najmniej dodatniej strony.

I dopiero, gdy Harna z zupełnym spokojem i surową powagą oświadczyła, że jest to sprawa zdeterminowana i rozstrzygnięta w niej samej ostatecznie, Brunon jednym zamachem odsłonił jej całą świetność i doniosłość czynu.

— Pamiętam — powiada Harna — te jego słowa, może jedyne, takie już nigdy potem niesłyszane, słowa więcej piękną ujawniające, niż go oczy objąć mogły.

Wszystko, wszystko, co przyszło później, było już tylko błędem powtórzeniem rzeczy dnia tego przeżytych.

Realnie Hanna mało jeszcze wiedziała, co ma robić. Stroną organizacyjną zajmowała ją niewiele, niejako tylko z musu.

Z pierwszej tej schadzki z Brunonem wyniosła jedynie dobitne poczucie, że ma się stać symbolem protestu przeciw obeldze niewoli i tyranji, gwałtownym streszczeniem uczuć najszerzych warstw narodu, zbiornikiem jego woli, głosu jego namiętym wyrazem.

Dnia tego cały wieczór błądziła po alejach łazienkowskiego parku, śniąc o wielkim dniu, który nadchodzi, o wysokości lotu, o potędze i pięknie czynu.

Wkrótce przeniosła się na Natolińską, gdzie się poznała z Joasią i Laleczką.

Dziewczęta szybko przyłgnęły do siebie.

Joasia pociągała dziwnie pogodną prostotą i tak otwartą szczerością, że prawie miespotykana. Miała serdeczną twarz i dobre, jasne oczy. Życia, które oddawała dla sprawy, było jej czasem żal, nie to, żeby bardzo, ale trochę, odrobineczkę. Mówiła o tem zresztą rzadko, mimochodem, jako o rzeczy małej wagi. Poza tem była niezwykle wesola, nie ustępująca pod tym względem Laleczce.

Ostatnia była urodzoną optymistką i kokietką, z główką piękną i dość ambitną. Wierzyła niezłomnie, że wszystko wypadnie jak najlepiej, że wyjdą ze sprawy zwycięsko jako tryumfatorki, ozdobione wawrzynem.

Obie dziewczęta zachwycały się paradnem mieszkaniem, które im się wydawało pałacem po ciasnych izdebkach, starały się pokoje możliwie upiększyć, krzątając się po lokalu, jakby miały w nim na wieki pozostać. Cieszyły je eleganckie mebelki, na których siadały z widoczną satysfakcją.

W widnych jasnych pokojach z podwójną siłą rozkwitało ich młode życie, każąc zapomnieć o przyzajonej śmierci.

Bawiły się szczerze zalecankami kawalerów z przeciwka, którym wesołe bałamutki na dobre zawróciły głowę.

Szczególnie uzdolnioną była pod tym względem Laleczka, która chrupiąc cukier, lubiła balansować przed oknem, strzelając od niechcenia załotnym spojrzeniem w stronę łornetujących aspirantów.

Parskały psotnym śmiechem, na myśl o tem, jak się ze strachu będą trząść ci szykowni faceci, gdy się wykryje, do kogo się umizgali, z kim prowadzili kouszachty.

Hanna trochę się tym flirtem gorczyła, wyczuwając przytem, że między nią a towarzyszkami istnieją pewne różnice.

Ona na życie, na własne sprawy patrzyła niejako przez pryzmat kursujących w jej sferze poglądów, uczuciowych i myślowych nałogów przeszłości, a często przez kartki literatury. Laleczka zaś i Joasia zdrowymi jasnymi oczyma: Ładny chłopiec był dla nich ładnym chłopcem, miłość gorącym, słodkim bez grzechu napojem — zglądzenie Skatłona — nietyle aktem romantycznym i wzniosłym, ile sprawiedliwą pomstą i karą za wszystko, co uczynił. Ujawniło się to szczególnie w krwawą środę — dzień dla spiskowczyń tragiczny.

Strzały rozlegające się po mieście wstrząsały każdą od stóp do głowy, jak wybuch miny... Czasem gęstość salw wzniecała przypuszczenie, że bitwa wre na ulicach Warszawy i wahały się, czy nie wyjść z pociskami, by rzucić się w szal walki.

Gdy wleczorem trochę ucichło i dowiedziały się, co zaszło, zaczęło niepokoić je widmo rewizji. Każdy żywszy ruch w bramie, łoskot na schodach, wzniecał trwogę, wzmagając bicie serca. Kiedy zaś w pobliżu znów zatrzaśkały karabiny, wiedziały już, co to znaczy...

— Strzelają psubraty! — odezwiała się Laleczka i twarz jej przybrała niepowszednio poważny wyraz, śliczne rysy stężyły, powlekając się czemś groźnem i surowem. Joasia się podniosła i w grzechocie długiej salwy jakby wyrosła w oczach i zeszywniała ze zgrozy, ręką wskazując na kominiek, i z dziłkim akcentem szepnęła: — Tu leży dla nich zapłata! — Okragłe, srogie lzy stanęły w jej oczach — zawzięta twarz sposepniła tak strasznie, że Hannie wzdrygnęło się rozbolełe serce.

Następny dzień przeszedł im jakoś sennie; były znużone nocnem czuwaniem, stargane wrażeniami.

Brunon je stale odwiedzał i zamęczał poprostu drobiazgowością szczegółów i wskazówek, formalnemi egzaminami, czy pamiętają o wszystkim, czy nie zaniedbały czegokolwiek w sprawie zamachu i swego odwrotu. Rewidował starannie mieszkanie, usuwał z drogi każdy sprzęt, mogący choć na mgnienie oka opóźnić wyjście, które miało nastąpić przez kuchenne schody, jako bliższe bramy. Naradzał się ze wszystkimi, potem z każdą oddzielnie, i wreszcie żegnał je jednym ze swych najlepszych czułych spojrzeń, za jakie przebaczały mu odrazu te nużące spytki, których doniosłość miały zrozumieć dopiero w chwili krytycznej.

Dokończenie nastąpi.

Z dziedziny projektów.

Estetykum.

Powstała u nas myśl oryginalna. Należy ją powitać, choćby tylko lekkim ukłonem, aby nowość i oryginalność nie osądziły, że wśród nas są — u obcych. P. Krystall wydał niewielką pracę o „Zagadnieniach oświaty akademickiej“ i poruszywszy w niej sprawę wydziału nauk wojskowych i fakultetu teologicznego, poddaje, po bieżnemu zresztą, przeglądowi kwestje z artystyczną kulturą naszą związane. I w końcu, na ostatniej kartce broszunki, rzuca ideę założenia „Estetykum“.

Mam wrażenie, iż w tem słowie, które klasycyzm symetyzuje z barbarzyństwem, rzucona została szczęśliwie formuła uczelni, jaką niezawodnie obdarzy nas przyszłość. Jeżeli w drugiej połowie ubiegłego stulecia wyrobiła się i rozpowszechniła polityka, jako uczelnia wyższa, gro-

madząca we wspólnej instytucji wychowawczej wszystkie główne rodzaje techniki, to można oczekiwać, że wiek obecny w podobny sposób scentralizuje różne szkoły i akademie artystyczne, aby wytworzyć *poliartystykę* lub, jak p. Krystall projektuje, według niemieckiego obyczaju: Estetykum.

Oto jak sobie wyobraża autor wydziały takiej uczelni: Estetyczny, Architektoniczny, Plastyczny, Muzyczny, Literacki i Ogólno-ornamentacyjny.

Te wydziały mają otrzymać swoją własną autonomję każdy, jak na uniwersytecie.

Szkic powyższy nie jest jeszcze projektem. Jest dopiero tak zwana „idea“. W szeregu wydziałów brakuje, co się odrazu rzuca w oczy, wydziału dramatycznego, Ogólno-orna-

mentacyjny doskonale da się nazwać prosto Dekoracyjnym. Ze słów zbyt skąpych autora trudno się domyśleć, czy szkoły artystyczne, jak malarską, muzyczną, śpiewacką, dramatyczną, włącza on do swojego Estetykum, czy też pozostawia je na uboczu, na własnych leżach, i jak w tym drugim razie, określa stosunek Estetykum do tych uczelni.

Skąpiąc wszelkich rozwinąć w tym kierunku, autor jednak za motyw, mający poprzeć swój projekt, podaje zbyt idealną i zapewne wprost chimeryczną na terenie wszelkiej wyższej uczelni, „jedność nauczania“ i już wprost chimerycznym dążeniem ją dubluje „jedności idealnej, do której sztuka zawsze dążyć powinna“. Autor mniema, że „taką jedność w systemie nauki i poznania reprezentuje estetyka“. Otóż, pomijając już to, że i na tym terenie różne idee pluralistyczne tak samo są usprawiedliwione, jak i na terenie metafizyki, i zresztą fizyki — nie jest to oddać projektowanemu dziełu mowemu dobrą usługę, gdy go się wnosi w otoczenie, tak z powietrza praktykę wyjąłowione.

Spróbujemy go sprowadzić na grunty bardziej realne.

*

Jest to niezawodnym, iż kultura artystyczna w Polsce wogóle, a w Warszawie w szczególności mocno jest zaniedbana. Trzeci rok już rozpoczyna wkrótce polski uniwersytet, a jeszcze niema mowy o tem, aby postawić na nim katedrę Historii Sztuki. Tem mniej Estetyki. Wprawdzie, jeden z profesorów filozofii, p. Tatarukiewicz, posiada w tym kierunku poważne przygotowanie, ale, jak się zdaje, ciągną go obecnie głównie etyczne problemy.

Nie można jednakże powiedzieć, aby nie było w naszym mieście wcale żadnej katedry, z której by nie padało słowo o pięknie. W politechnice p. Skórewicz wyklada Architektury Polską, a p. Dziekoński Historię architektury średniowiecznej. W Wolnej Wszechnicy Polskiej p. Niewiadomski mówi o Sztuce Nowożytnej (od odrodzenia poczynając), p. Trojanowski o Historii sztuki starożytnej i średniowiecznej i Historii sztuki europejskiej w 19 i 20 wiekach. P. Rozenzweig wyklada tam Historię Muzyki. Istnieje nawet w tej uczelni wykład Estetyki (p. Segala), z psychologicznego stanowiska traktowanej. P. Radecki z tego samego stanowiska mówi w tym roku o Twórczości, a p. Rozenzweig o Estetyce i Akustyce muzycznej. Do tego by mo-

żna dołączyć wykłady profesorów Chlebowskiego, Matuszewskiego, Woycieckiego, Gallego o literaturze i Krzywickiego, Szerękowski o kulturze. Są to wszystko wykłady publiczne. W szkole Dramatycznej jest również parę katedr, z których pada słowo umiejętne na obszar estetyczny. Są te wykłady jednak zarezerwowane dla słuchaczy jednej szkoły. Jeżeli dalej weźmiemy pod uwagę, że mamy jeszcze szkoły artystyczne o zakresie praktycznym, mające za zadanie wyrobić wirtuozów, więc Szkołę Sztuk Pięknych i Konserwatorium Muzyczne, wypadłoby nam, że już obecnie są pewne elementy na założenie jakiejś centralnej wychowawczej instytucji o wyższym poziomie studiów, Estetykum.

Byłoby przedwczesną rzeczą zastanawiać się obecnie, kiedy jeszcze żadnego określonego planu takiej instytucji niema, a dopiero jej idea zamajaczyła w świecie kształtów, jaki byłby stosunek uczelni o praktycznym charakterze, jak Konserwatorium, Szkoła Sztuk Pięknych, Szkoła Dramatyczna, do Estetykum, które by hodowało przedewszystkiem historię i teorię i za przedmiot swój miałyby nie bezpośrednio wzmocnienie twórczości, ale badanie wytworów gotowych już twórczości. Byłaby to instytucja, jak p. Krystall w tytule swojej pracy mówi, „akademicka“. Posiadałaby ona w każdym razie, nawet i tak ograniczona, nawet oddzielona od samych szkół, własny swój przedmiot, pozytywnie określony; i nawet przedmiot bardzo bogaty, rozległy, o wielce różnorodnej treści. Estetykum nie mniej okazałoby się zapewne się przedstawiało od Politechnikum. A wystarczyłoby, w ten czy inny sposób, zcentralizować nasze siły i środki, już czynne na tem polu, aby zaraz rzuciły się w oczy główne braki w całości Estetykum, aby przemówiły swą wymową te katedry, które staną na razie puste.

Zobaczylibyśmy zaraz, że inteligentnemu a spragnionemu wiedzy i lubiącemu się kształcić ogółowi stolicy brakuje katedr Estetyki filozoficznej i wreszcie, a nawet głównie: Estetyki prosto estetycznej.

*

Zcentralizowanie w jakowej Estetykum katedr już w dziale sztuk pięknych istniejących, — choćby w ten sposób, że jedne z nich stałyby się dostępne i dla tych, przed którymi są, w swoich gmachach, zamknięte, jak w Politechnice, a wyniesienie

865
może innych ze swoich zamkniętych lokalów do gmachu publicznego, jak ze Szkoły Dramatycznej, stworzyłoby niezawodnie coś w rodzaju własnej atmosfery wyższej uczelni. Odbyłoby się tu, jak to bywa często w podobnych razach, nie proste, mechaniczne dodawanie jednostek, ale pewne ich mnożenie przez siebie, pewne potęgowanie, które sprawia, iż rezultat socialnej składowanej instytucji jest czymś znacznie większym od sumy ich części.

Wydaje się oczywiście i nie naruszając się o dowód, iż podobne Estetykum podniosłoby niezawodnie poziom kultury artystycznej w narodzie. Naprostowałoby gusty, a wraz z nimi i dusze. Przełożyłoby drogę do własnego, narodowego przemysłu artystycznego, do polskiego stylu dekoracyjnego, za czem wszyscy tęsknimy, a czego uniezeczywistnić dotychczas w żadnej mierze, pomimo niezawodnych zdolności polskiego rzemieślnika, nie umiemy.

Brak jest bowiem w społeczeństwie uświadczenia artystycznego.

Brak jest jeszcze w dodatku i pogłębienia naukowego u tych, którzy przewodniczą estetycznemu wykształceniu. Większość tych, co uczą o sztuce, są to nauczyciele dopiero, nie profesorzy. Przetrawili oni niezawodnie cudze, nie stworzyli jeszcze własnego. Przyczynienie się nasze do skarbu wiedzy artystycznej ludzkości jest jeszcze ubogiem.

Estetykum podnieciłoby ambicje. Zagrzałoby do pracy. Wytworzyłoby szlachetne emulacje. Powstałaby nauka polska o sztuce. Nauka, której poważne już zawiązki stworzył Kraków. A któremu Warszawa, przy lekkiej pomocy, jakaby otrzymała ze strony zorganizowanego Estetykum, mogłaby bez trudu dorównać.

*

Nie wiemy, kto i kiedy podejmie, choćby do rzetelniejszej dyskusji, rzucone tu myśli. Prasę naszą charakteryzuje dziwna bezwładność na tym punkcie. Bojąc się polemiki, jak ognia, wciska się ona w lodowcowe strefy. Cudzych idei nie podejmuje. Nie spostrzegając, że to pozbawia ją i możność do rozrabiania własnych. Idea p. Krystalla, być więc może, przejdzie do archiwów życia polskiego. Ale jest to świeża i żywotna idea, odpowiadająca potrzebom naszego czasu. Tryśnie ona więc niezawodnie, jak źródło z pod piasków. I narzuci się ludziom, — jako kulturalną konieczność.

Wincenty Kosiakiewicz.

KARYERY.

52

Upojony czarem terażniejszości — nie chciał myśleć o jutrze — rozkoszując się miłością, którą obdarzała go z przyzwyczajenia z całym zasobem kunsztu nie żony, lecz metresy.

Bo tylko wśród dnia pozwalała sobie na wygodny szary dezabil żony. W małżeńskiej lustrzanej sypialni, fantastycznie z lekka zaróżowionej pół światłem, w powodź piany koronek, jakich nie posiadają żadne królowe, a jedynie wielkie kokoty — przyprowadzała Horskiego do szału wypróbowanym już przez nią, jakimś dziwnie podniecającym odorem perfum, o zapachu nieistniejących kwiatów, wśród których nurzał się oczadzony, wciągając w pijane nozdrza sztucznie woniejące róże jej ust, jaśmin jej włosów, tuberozy całego jej ciała.

Nienasycony arcydziełem jej wykwintnie harmonijnych kształtów, począwszy od brwi i rzęsów olówkiem podkreślonych, skończywszy na uróżowanych paznogiełkach jej cudnie narysowanych nóg — tonął w tej całej mise en scène, zapożyczonej z erotycznych podręczników miłosnej galanterji i z nauk najkompetentniejszych lowelasów w Europie.

A poza zmysłami — w jego naturze bądź co bądź prawej i etycznej zawodową i ideową pracą uszlachetnionej — nie wygasł całkowicie młodzieńczy sentymentalizm — w którego oświeceniu obecna postać Ireny łączyła się zawsze z tą młodą czystą panią z Jędrzejewic.

Ta cudnej urody dziewczica, która woził łódka, jako student, po zarosłym nenufarmi stawie i której — w obliczu księżyca tuż przy tarasie, pod starą lipą skradł z niepokalanych ust pierwszego całusa — to była kobieta, przeznaczona mu przez Boga, połączona z nim do grobu jedyną w życiu prawdziwą miłością.

Jeżeli bolały go jej wciąż wzrastające całodziennie kaprysy, „nerwy“ i to całe obejście, pełne wyniosłości i pogardy, które nawet poza miłosnymi nocami — mogły świadczyć o jej zobojętnieniu — pocieszał się myślą, że jednak dała mu niezbity dowód miłości, wychodząc za niego. Z pośród wszystkich wybrała jego, choć nie była już wtedy w latach szalejącej nieopatrnie pensjonarki.

Wniosła mu w ofierze nie tylko królewską urodę i duży majątek, lecz poświęciła dla niego mitrę, stosunki i życie wielkoświatowe, ten cały czyzy blask wykwiutu, stanowiący tak doskonałą oprawę dla piękna kobiety.

Po szalach miodowych miesięcy, kiedy sam na sam poczęło już im trochę ciężyc — pojęły — iż należało urządzić jakąś normę, regime życia, czyli modus vivendi. A ponieważ ogólnie przyjętą zasadą jest, iż należy żyć z ludźmi — pomyśleli o otworzeniu salonów i przyjmowaniu gości.

Poczęły składać wizyty — z postanowieniem życia intymnego, ściśle w kole rodziny i kolegów męża.

Lecz z rodziny należało skwitować wskutek jej powinowactwa ze zmarłą Zosią. Rodzina bowiem z Polewskim na czele — czyniła Irenę odpowiedzialną za całą tę tragedję małżeńską Horskiego z pierwszą żoną.

I Irena odczuła z miejsca po pierwszej wizycie, iż będzie w tych kołach na indeksie.

Wobec stanowczego zerwania z „wielkim światem“, pozostały jej więc jedynie — żony kolegów męża.

Irena pocieszała się teraz myślą Cezara, iż lepiej być pierwszym w małej wiosce, niż drugim w stolicy.

Lecz wioski, bardzo często trudniejsze do zdobycia od stolic — okazały się bardzo republikańskimi; szczególnie kobiety zaprotestowały przeciwko królowej, silnie zagrożonej w otoczeniu, pozbawionem w zupełności ślepego kultu.

Wiadomo, iż analiza wyszukująca plamy — zabija uczucie. Panie doktorowe zadecydowały, że ta ex wielka dama posiada wykształcenie bardzo powierzchowne, że jej dowcip i opinja w każdej kwestji są banalne, płytkie i konwencjonalne.

Wprawdzie pisze po francusku bardzo dobrze (zdaje się, że jest to sine qua non do należenia do „wielkiego świata“), lecz polskie jej listy rażą błędami.

Stanowczo nie chciały być frajlinami jej dworu; nie godziły się na jej dworską grzeczność i na udaną skromność przepysznego jej stroju. Kwitowały z jej nudnych przyjęć z maskowanym wykwiutem potraw, kwiatów, świec i służby.

A najzłośliwsza z nich twierdziła:

— Godziłabym się bywać albo u prawdziwej kokoty, albo u prawdziwej wielkiej damy.

Pani Irena czuła się towarzysko wykolejoną. Na domiar złego i platonicznj starzy jej przyjaciele od pewnego czasu ją bojkotowali.

Godziły się wyłączenie na platonizm obustronny. Lecz miłość jej do Horskiego stanowczo zaszkodziła w ich opinji jeszcze przed jej niefortunnem zamążpójściem.

Ozięble uliczne ukłony tych (niezachęconych jej cudnymi obiecującymi uśmiechami) habitués de la maison — zdawały się rzucać jej najwyraźniej:

— Przedewszystkiem przestań kochać się we własnym swoim mężu, a potem zobaczymy!

Irena nudziła się.

I ta nuda, matująca blask jej oczu, zółcają jej cerę, odbierająca elastyczność jej postawie — przerażała ją, jak groźny wampir, czyhający na jej młodość. Zaczęła bać się despotycznych szeptów tego wroga. O! znała jego potęgę. Przedewszystkiem obdziera on z różowych obsłonek wszystkie nasze pragnienia; następnie zohydza ideały i dążenia, wolę i energję... Aż wreszcie, ubezwładniwszy szamoczącego się ostatnimi podrygami — odchodzi... A za nim powolnym krokiem zbliża się apatia, rezygnacja, starość...

Irena wstrząsnęła się z ohydą.

— Nie, nie! Raczej natychmiastowa śmierć, niż starość!

— Nie, nie! Tak źle ze mną jeszcze nie jest. Na brak werwy nie mogę jeszcze uskarżać się; ani na pogodzenie się z losem, ani na spokój.

Faktycznie od rana do nocy była bezustannie podniecona. Nie mówiąc już o biednym Horskim, lecz cała służba męki Tantalą z nią znosiła.

Była ciągle złą, choć nie darła trybem bohaterek dawnych powieści koronkowych chusteczek, których obecnie w rękę się już nie trzyma.

Była złą — głównie ponieważ czyniła odpowiedzialną za swój los — jedynie samą siebie.

— Nie byłam już wtedy pensjonarką, którą powinny strzedz nauczycielki. A i pensjonarki są mędrsze odemnie, ponieważ wybierają sobie studentów. Zresztą każda sielanka — to epizod; lecz to nie całe życie.

— Tak, tak — doszła do przekonania w trakcie, kiedy ją kapano, czesano, manicurowano — to małżeństwo było tylko epizodem. Trzeba rozpocząć życie na nowo.

Ale z kim, jak, gdzie? Życ — znaczyło podług niej — używać.

Uśmiechnęła się do tego wyrazu z jakąś furją przeczucia, że piękność jej może minąć i wszystko będzie bezpowrotnie stracone.

Zaczęła badać swoją przeszłość: Nie, nie! To wszystko nie było wcale rozkoszą używania! Myślała wszak ciągle jedynie o karierze!

W młodych latach za granicą sprzedawała się każdemu ze wstętem, aby zdobyć chleb; potem dla stanowiska ulegała dyrektorom; a potem dla sławy i okłasków, dla brylantów — redaktorom, krytykom, bankierom!

Następnie księżęce salony z mężem starcem i przyjaciół królowych!

Dopiero teraz w nagrodę — ta nędzna sielanka po tylu latach z tym odgrzanym młodzieńczym ideałem, ze starzejącym się fillistrem w mieszczańskim ciepłku rodzinnem! Karykatury!

W tej wiecznej komedji życia — przywdziewała — odpowiednie do tych wszystkich ról — style. Z talentem urodzonej aktorki przemieniała się kolejno z kokoty w gwiazdę; to znów z wielkiej damy w cnotliwą mężateczkę! Ha, ha, ha!

Ależ ona stanowczo stała się w ostatnich latach nudną ze swoim konwencjonalnym uśmiechem, ściśniętą tą wieczną manierą, zastosowaną do sytuacji!

— E basta! — krzyknęła z niezwykłą brutalnością, płosząc tym okrzykiem masażystkę, zajętą manicurą jej paznogi. I w koronkowym saut du lit zmierzała szerokim krokiem po puszystym dywanie swego cabinet de toilette.

— Nareszcie przed śmiercią chcę żyć, żyć, żyć; dla siebie, wolna, jak ptak, bez żadnych klatek, bez konwensów, bez cudłej opinii, bez obłudy pozorów udawania — żyć — jedynie, aby być szczęśliwą! Chcę szczęścia bez miary, bez zastrzeżeń, aż do zatonięcia w niem! Bo człowiek został przecie stworzonym dla szczęścia. Czyż nie? Bo w jakimże innym celu? Ma więc prawo być szczęśliwym. Czyli bezprawiem i grzechem jest trzymająca nas w wiecznej uwięzi etyka i cnota, nakazująca pozbawiać się szczęścia wbrew naturze, wbrew woli Boga!

— Byłam całe życie zbyt sprytną; teraz póki jestem jeszcze piękną — chcę szaleć. Co znaczy — nie odmawiać sobie tego, na co mi przyjdzie ochota. Voilà. Chcę miłości, pieśni, szampana! Chcę gwizdać na te, które mnie palcem wytykać będą, a w duszy zazdrościć. O! Mam już po-

zycie tej piły życia, reprezentacji, specjalnej do wzbudzenia zawiści szanownej publiczności!

Zwróciła się do wchodzącego Horskiego:

— Wiesz, złożyła mi dziś wizytę baronowa Gizela Rejmanowa. Musisz w przyszłym tygodniu znaleźć wolną chwilę czasu, abyśmy ją razem rewizytowali.

— Skąd znasz tę damę?

— Poznałyśmy się u Hersego. Bardzo miła, ładna, dobrze wychowana.

— Czy zamierzasz u niej być?

— U niej bywają wszyscy: Muzycy, malarze, artyści, klubowcy, adwokaci. Towarzystwo bardzo odpowiednie dla doktorowej Horskiej.

Horską spiekł raka i zacisnął wargi, aby jej nie rzucić:

— Dla doktorowej Horskiej nie bardzo odpowiednie; raczej dla signoriny Ireni. I wnet zatarł swój rumieniec uległą decyzją pantofla:

— Jak uważasz, moje dziecko. Lecz zwracam ci uwagę, że to nie jest dom, którym by można bardzo się chlubić.

— O! Mój drogi! Bywałam już w tylu domach, któremi można było się chlubić, że chciałabym nareszcie znaleźć dom, w którym by nie było nudno.

— Jesteś, jak Cezar — odciał się mimowolną niezbyt zręcznie — wolisz być pierwszą w małym miasteczku, niż drugą w stołicy.

— Mówiłam ci już, że nie szukam ani miasta, ani wsi; a jedynie krajiny szczęścia.

— I tą krajną ma być salon baronowej Gizeli Rejmanowej?

— Ha! Zobaczę!

XXV.

Baronową Gizela z Hochmündów (przerabiano to nazwisko na Hautmonde'ów). Rejmanowa pochodziła ze starej oddawna wychrzzonej semickiej rodziny, legitymującej się już z kilku pokoleń milionerów, skoligaconych z konsulami, baronami, a nawet z hrabiami.

Matka baronowej Gizeli była z domu (podupadła — rzecz prosta) hrabianką Norską. Baronowa Gizela należała więc już od urodzenia do „towarzystwa“, zrównana z niem wykwiem swęj francuszczyzny, tualetem, ilością służby i stopą prowadzenia domu, który — niestety zrujnował majątek jej rodziców, przemienionych z dorobkiewiczów, plutokratów w podupadłą arystokrację.

I piękna, filigranowa, drobna panna Gizela (niepotrzebnie psuła sobie swój typ brunety o wielkich egipskich oczach, o papuzim kształtnym nosku i o czarnym meszku na wierzchniej wardze — złotem utlenionych włosów) — musiała oddać wbrew marzeniom rodziców swoją rączkę już nie zbiedzonemu księciu, lecz najświeższego stempla łódzkiemu parwenjuszowi, oszołomionemu szczęściem posiadania bezposażnej wprawdzie, lecz pięknej żony, w której płynęła po kądzieli błękitna krew hrabiów Norskich. Lecz głównie nęcił go ideał należenia do „towarzystwa“.

Pani Gizeli udało się faktycznie wprowadzić męża, który paradował swoim świeżo zakupionem zagranicą, a bezprawnie używanem w kraju baronostwem, do wszystkich salonów warszawskich, a nawet do klubu.

Pan baron Rejman, jako t. zw. foka, czyli gruba ryba, opłacał ten zaszczyt, bardzo strawnie polykając przy pokierze zapuszczane każdego wieczoru w klubie wędki na jego złoto.

Aby utrwalić swoje towarzyskie stanowisko w high-life, poza salonem żony — przyjmował jeszcze żadnych swobodniejszej zabawy — u swojej metresy, sławnej gwiazdy, panny Blanchard, Francuzki, którą teatr warszawski pozyskał był niedawno na stanowisko prima-balleriny. Poza tem pan Rejman trzymał jeszcze i stajnię wyścigową i zwałczwał nagrody na konkursach samochodowych.

W tej świeżej roli clubmana, viveur'a, trochę się podług wyrażenia teatralnego „zgrywał“ i byłby niezawodnie grubo madszarpany majątek niebawem utracił — gdyby z wyroku losu rażony apopleksją w objęciach panny Blanchard nieoczekiwanie ducha nie wyzionął.

Pani Gizela została młodą 30 letnią, bezdzietną wdówką z zapisem olbrzymiego dożywocia, umieszczonego w ziemi, oraz na miejskich hipotekach, w fabrykach, w akcjach i przedsiębiorstwach.

Dalszy ciąg nastąpi.



CHARAKTERY.

Rufin, czyli, że trudno jest poznać samego siebie.

Rufin wie, że każda rzecz może być taka albo zupełnie inna — nawet wtedy, kiedy się już stała. I wiedza ta jest dla Rufina źródłem rozterki i goryczy.

Widząc zjawisko każde ze wszystkich stron, Rufin nie może ustalić swego stosunku do świata, co więcej — nie może ustalić własnego mniemania o sobie.

Niekiedy Rufin uciwuje, że pomimo zawodów doznanych zachował całą wewnętrzną równowagę, że jest przeto naturą pogodną i wobec życia afirmatywną. Wszelako nie minie dzień, a Rufin zniewolony jest sam sobie perswadować, że oto mu się powiodło, że ma żonę i dzieci zdrowe, którym zapewnił dostatek, że owszem imię jego i stanowisko obudza szacunek, że przeto powinien być szczęśliwy. A właśnie robak wątpliwości, sceptycyzm głębszych natur nie daje mu w radości korzystać z owoców zasługi.

Są znów dni, kiedy wydaje się Rufinowi, że oto rozmiął się z przeznaczeniem. Wybrana bowiem na towarzyszkę życia kobieta wyziębiła w nim idealizm wrodzony, obniżyła lot i pracy jego narzuciła kierunek praktyczny. Kiedy indziej przypomina sobie nagle drobne jakieś małżeńskie uchybienia. I widzi siebie jako wyrafinowanego rozpustnika, który nadużył zaufania tej uczuciowej, szlachetnej, czystej kobiety i jedynie dzięki obłudnemu zachowaniu pozorów nie zniszczył szczęścia rodzinnego. Dreczy się tedy wyrzutami sumienia, rozważa, jak zbawienie wpłynęła żona słodyczą charakteru i rozsądną dobrocią na jego usposobienie; jest pewien, że tylko ona uchroniła go od pesymizmu, któremu ulegał w młodości, gdyż włożyła nań słodkie obowiązki ojcostwa, wskazała życiowe cele bezpośrednie — właśnie gdy wątpił już był o celach humanitarnych i wszechludzkich.

Czasami wszystko, co osiągnął, wydaje się Rufinowi skromnym zaledwie dorobkiem. Porównywa siebie z innymi, którzy z niczego doszli do dostojęstw i zaszczytów — i w tym zestawieniu staje się kimś niepraktycznym, zbyt niezależnym, niezdolnym do kompromisów, nieprzystosowanym do życia. I widzi Rufin, że jest urodzonym samotnikiem, nie dbającym o blichtr fałszywy i tani poklask świata. To, co ma, jest mu nawet zawiele; marzy o zamieszkaniu w ubogim dworku wiejskim, krew przodków skłania go do pracy na roli, pragnie cichych zadowoleń wewnętrznych, uznania tylko w głębi duszy własnej. Jednak niedługo. Nagle bowiem odkrywa wielkie dobro, wynikające z życia socjalnego, potęgę gromady i organizacji, widzi się kółkiem niezbędnym w wielkim mechanizmie świata.

I wtedy Rufin poczuwa się w jestestwie swoim, jako człowiek czynu i

energii, jako jeden z budowniczych narodu. Oto jest tym, który bezwzględnie depreczając wszystko na swej drodze (ma na myśli dwie w życiu uwiedzione modystki) z egoizmem natur silnych doszedł do celu, nawet przez małżeństwo swoje zdobył tylko środki do urzeczywistnienia dawno powziętych zamierzeń. Dał pracę setkom ludzi, zorganizował całą gałąź przemysłu, w rękach swych przesuwają niemi kierownicze, zdobył władzę, której pragnął.

I znów — o jakiejś godzinie wieczornej, — znużony pracą swą, odpowiedziałną i owocną, Rufin jest w oczach

swoich naturą prostą, niewyrachowaną i miłą; pośród rodziny i przyjaciół czuje się do głębi samotny. Żałuje, że nie poślubił ubogiej panienki, którą kochał był czasu górnej i chmurnej młodości i która jego kochała. I gdy ludzie myślą, że nie mu nie braknie, on, Rufin, ma całym niezmiernym światem nie ma duszy bratniej, której mógłby zwierzyć swój smutek.

W takiej oto ciągłej sam ze sobą rozterce przepędza Rufin godziny wolne od pracy i rozrywek. Najtrudniej bowiem jest poznać samego siebie.

Z. Rygiel-Nalkowska.

Werner v. Heidenstam.

Przekład St. Miłaszewskiego.

W SERAJU.

NOWELA.

1

Był poranek zimowy. Nad morzem Marmora snuły się tumany, podobne zdała do białych wysepek skalistych. Minarety w żółtobarwnym Stambule od szczytów aż do krąganków dolnych płomieniały, bo słońce wyrzało z za chmur. Eunuch z haremu matki sultañskiej wybrał się był dnia tego na mogiłę dawnego pana. W drodze powrotnej zakupił brankę białolicą, która postawą dorodną ciągnęła wszystkie oczy na targowisku. Eunuch na skrętach ulic wskazywał drogę laską, sadzoną srebrem, od czasu zaś do czasu kiwał głową i mruczał: „Chyba sam prorok zgadnie, co ją czeka w haremie... Stopy ma niczem targarz portowy...”

Minawszy główną bramę seraju i strażnika o twarzy wyniosłej, eunuch zapukał do drzwiczek, ukrytych w gąszczu dzikiego wina.

— Dziecię moje — przestrzegł niewolnicę, — starzec, który nam furtę otworzy, nosi miano Nieuznanego Mesjasza. Weześniej, czy później powinnaś się dowiedzieć, że niebezpieczny z niego człowiek. Za młodu nazywał się, jak słyhać, Sabat-hal, a przemieszkował w Smyrnie, wśród Żydów. Za owych czasów głosił o sobie, iż jest drugim Mesjaszem. Sultán atoli rozkazał łucznikom, aby strzałami zbadali, czy nowy prorok jest nietykalny zaiste. Strwożony cudotwórca wyprzysiągł się ozempredziej wszystkich swoich nauk... W nagrodę dano mu godność klucznika seraju.

Szczęknął klucz w zamku. Staruszek drobnego wzrostu, przepasany na biodrach łachmanem brunatnym, z ostrożnościami rozwarł furtę.

Eunuch dłoń mu położył na ramieniu.

— Sztukę srebra otrzymasz, stary, jeśli wywróżysz przyszłość tej oto niewolnicy. Strwożony jestem, jak nigdy, czyli przyjmą ją tutaj chętnem sercem... Podnieś oczy, niewiasto! Weź do rąk laskę moją i nakreśl linię na piasku. Człowiek, przed którym stoisz, wróżyć ci będzie!

Niewolnica spełniła rozkaz, a Nieuznany Mesjasz, zgięty wpół, wymamrotał:

— Linia zupełnie prosta... Przeciwna ścieżkę w poprzek i, zda się, dąży w stronę zagonów kwiatnych, gdzie gad przyziemny pełza pod krzewami róż... Linia zupełnie prosta, powtarzam... Żadnych skrętów, żadnych załamania... Zachowajcie, panie, wasz pieniądz. Z linii tak prostej nie mogę nic zmiarkować. Nie będę wróżył tej niewieście.

— Masz więc zapłatę, stary oszuście! — zawołał z gniewem eunuch, wymierzając raz tęgą w plecy Nieuznanego Mesjasza. — Należą ci się cięgi nie od dziś... Ogłaszałeś się przecie za proroka bożego, bestie dzikie na wodzach z siedmiu wężowych głów obiecywałeś dźwierzyc, pamiętasz?

Obity Mesjasz stanął na jednej nodze, jak zóraw, drugą zaś tarł się w podkolanek. Po chwili odskoczył wstecz, wykrzywił twarz zawiedłą i syknął nienawistnie, wznosząc rękę do góry:

— Przez ciebie, nieznajoma kobieto, spadają na mnie obelgi i plagi... Bądź przeklęta! Bodaj cię pochłonęły węże i skorpiony! Słysz przepowiednię moją!

Z klątwą na ustach zatrzasnął furte i odszedł precz, pozostawiawszy ślady stóp bosych na piasku.

Eunuch tymczasem wiódł niewolnicę za ramię po stromych schodach z kamienia na taras niedostępny i wyniosły, jak twierdza. Aleje pośród krzewów rozkosznych i drzew wysypane tam były muszlami, które pod stopą ludzką wydawały chrzest. Przewodnik ją dziewczynę upominać półgłosem, aby stapała cicho, zwolną i lekliwie. Wśród cyprysów wisały tu i owdzie klątki pozłacane z ptactwem różnobarwnem i śpiewnem. Na trawnikach szemrały fontanny z paroskiego marmuru. Po przez aleję mirtów, szeleszczących na wietrze, udały się przybysze na skraj skalnego cypla, zwieszonego nad morzem.

W cieniu jaworów na polanie wznosił się tam kiosk biały, pokryty stromym dachem. Na szczycie błyszczał półksiężyc i gwiazdy. Przed progiem na dywanie siedziały dwie piastunki, gawędząc i zabawiając małe dziecię. We drzwiach rozwartych spoczywała na poduszkach siwowłosa kobieta. Nogi okryła futrem sobolem, w rękach trzymała grzechotkę szczerozłotą. Była to sławna wśród muzułmanów i giaurów „Pszczola Paków Różanych“, matka sułtana, nadobna niegdyś Greczynka z Retimo, której usta, od rosy porannej wonniejsze, Mahometa IV-go do zszaleństwa przywiodły.

Lata nie starły w sułtance zgrzybiałej wspomnienia owych godzin okropnych, kiedy na wszystkich dziedzińcach pałacu pochodnie zbuntowanych janczarów płonęły, a mąż jej, z tronu złożony, uchodził spiesznie do komnat wewnętrznych, aby się przysposobić wśród modłów na więzienie, kaźń i śmierć. Jak żywe, miała w pamięci lata spędzone w ponurym Eskiseraju, przytulku siedzących odalisek, gdzie nocami kroczyła bezsenna po kobiercach, bezradnie łamiąc ręce... Syn rywalki stał wówczas u szczytu potęg; i w kole mułłów i ulemów publicznie wstręt oświadczał do pałaców poprzednika. Lecz wspominała również o dniu radosnym, w którym syn jej İona, wyzwolony z więzienia, stanął przed szeregami janczarów, wznoszących okrzyki ku czci jego. I znów otwarły się na oścież „Podwoje szczęśliwości“. Scepter wszechwładzy ujęła wtedy ręką tą mocną i pewną, jako tę oto złotą grzechotkę wnuka... Z wiekiem lice pożółkło, zaostrzyły się rysy, a jednak uśmiech sułtanki zachował mimo wszystko ślad niewieściego powabu.

Eunuch bił czołem o kobierce. Skinieniem rozkazała mu wstać. Wówczas przemówił:

— Djament wody najczystszej znalazło niegdyś pacholę niedorośle w kurzawie Karawanseraju. Nikt z żyjących, o władczyni! nie zdolny był odgadnąć, jako się to stało... A toli pewien ulem pobożny i uczony objawił, że przed mnogimi laty w miejscach onych zginęła korona cesarska, podczas tryumfalnego święta imperatora Justyniana. I ty, o władczyni! w mądrości swojej przyznać raczysz, iż sługa nędzny odnalazł klejnot książęcego blasku na śmieciisku w dzielnicy Egrikaputore. Nie przeczuwał on nawet istotnej wartości kamienia i nabył za cenę trzech tyżek srebrnych djament, który zabył się w pióropuszech na turbanie syna twojego. Kosztowności wszelakie leżą na rumowiskach śródmiejskich; nieraz depczemy po nich bezwiednie, a toli poszukiwacze skarbów, tropiąc po mylnym śladzie, najczęściej tylko kości spróchniałe i gruz znajdują w rozkopanej ziemi. Podobnie bywa z twoim sługą, przy zakupie niewolnic... Przez rok cały trapił mię lęk, czy zdołam według zlecenia twego gdziekolwiek znaleźć jasnowłosą branke... Na ustach czułem smak popiołu, pijąc wodę źródlaną... Puszyste kobierce zdawały mi się po nocach twardsze, niż schody kamienne na zamku Siedmiu Wież... Straciłem sen i spokój w nieustannej trosce, aby najrychlej życzenie twoje spełnić... Dopiero dnia dzisiejszego, gdy na mogile twego małżonka szukałem ukojenia, niespodziewanie zesłał mi Bóg miłościwy niewolnicę, jakiej żądać raczyłaś.

Precz odrzuciwszy welon z lichej tkaniny, odsłonił twarz kobiety o jasnym spojrzeniu i bujnym, płowym warkoczem.

Sułtanka, kładąc grzechotkę na kolanach, odpowiedziała z uśmiechem:

— Kiedyś, w czasie Ramadanu, roił mój syn we śnie o wysmukłej dziewczynie złotowłosej, przytulonej do swojego İona. Niewolnicy podobnej niema w seraju, więc zaciekawil mię ten sen... Lecz nie wiem sama, do czego użyję tej oto nowej służebnej... za ciężka jest, jak na tancerkę... U boku syna mojego pełnić służby nie może... On drobne stopy i ręce uwielbia nad wszystko.

— Zaprawdę — odparł eunuch, ujrawszy, że nabytek nie przypada sułtance do smaku. — zgoła nie wliczyłem jeszcze, ile wieści przedziwnych krąży o tej niewieście. Ja sam z trudnością dalbym wiarę, ale han-

dlarz niewolnic na proroka brodę i duszę poprzysiągł, że niema w tem zmyślenia. Z kupca człek wiarogodny, pobożny, znam go nie od dzisiaj... Nigdy w życiu nie oszukał mię ani na wieku, ani na pochodzeniu niewolnic... Zresztą sama niewiasta zadałaby mu kłam, bowiem zna trochę mowę naszą. A teraz wysłuchaj mię, władczyni, i sama wyrokuj, zali nie klejnot istny w twoje ręce złożyłem... Z jakimże uniesieniem wspominałaś zawsze o twoim Lwie Północy, wielkim monarsze Szwedów! Wiedz, z jego narodu pochodzi ta niewiasta uboga, zrodzona w kraju, gdzie niewiele zieleni, a jeszcze mniej róż kwitnie, gdzie nawet latem śnieg ziemię zalega.

Sułtanka z ożywieniem zerwała się na równe nogi... Złota grzechotka poszła w ką. Niepomnając na etykietę, władczyni poczęła oglądać niewolnicę od stóp do głowy. Podnosiła do góry i opuszczała w dół jej ręce; końcami palców rozchyliła wargi, badając zęby dziewczyny; muskała ją po piersiach, gładziła po włosach.

— Wszystko za wielkie w tej kobiecie! Nawet usta, nawet podbródek... Pokaż mi nogi, dziewczyno!

Niewolnica, znać zdjęta nagłą odrazą, niezgrabnie cofnęła się wstecz i mruknęła przez zęby:

— Głupstwa jakieś!

— Prostdusznia, ale szczerza jak złoto! — zaświadczył eunuch z pośpiechem. — Zauważyłem to odrazu, kupiec zaś i pod tym względem nie utrzymywał mię w błędzie, sam mi bowiem oświadczył, że zowie ją poprostu „Głupią Szwedką“.

— Niechże nosi to imię, dopóki nie zasłuży na inne... A teraz, dziecię, pokaż mi nogę nareszcie!

Głupia Szwedka, zgorszona niesłuchaniem, obciągała wstydliwie zgrzebną swoją koszulę.

— Jezu kochany, nie dadzą człowiekowi nawet ustać spokojnie.

— Co ona mówi?

— Nie wiem, o władczyni... Jednak... Można ją będzie użyć do prania welonów...

— Nie, raczej niech się zajmuje papugami... Niektórych klatek żadna z moich służebnic podźwignąć nie może. Teraz dozór nad ptactwem ma „Światłość Gwiazdy Zarannej“, lecz to dziewczyna wiotka i ładna, nie stworzona do grubej roboty. — Doczeka się zapewne zaszczytnego losu... Zalecisz jej, ażeby zaraz pouczyła przybyłą o nowych obowiązkach.

Sułtance, po zaspokojeniu ciekawości, dłużyć zaczęła się rozmowa...

Skinęła zatem na piastunki, aby przyprowadziły dziecko, i zniknęła za drzwiami.

Codziennie od tej pory „Światłość Gwiazdy Zarannej“ pokazywała nowej niewolnicy, jak trzeba się obchodzić z papugami. Na krótko przed zachodem słońca, zazwyczaj siadywały obiedwie w ogrodzie tuż obok klatek, na jednym miejscu zgromadzonych. „Światłość Gwiazdy Zarannej“, trzynastoletnia Czerkieska, najmłodsza z pośród służebnic sultanki, do Głupiej Szwedki przylgnęła całym serce.

Najstarszą i najznakomitszą papugę trzeba było na pół dnia wynosić z rozkazu sultanki nad morze. Rzeźwiący powiew słonawy, miał wzmacniać schorzałego ptaka. Dozorczynie zasiadły na ławce kamiennej, nieopodal klatki. „Światłość Gwiazdy Zarannej“ objęciem gibkich ramion przygarnęła do siebie rozrosłe barkę przyjaciółki i szczebiotać poczęła o wszystkim, co się dzieje na szerokim świecie. Aż wreszcie dopomniała się z przymileniem:

— Opowiedz mi coś o sobie! I ja, wierzaj, nie będę miała tajemnic przed tobą!

— Nie wiele mam do opowiadania. Jako mała dziewczyna w służbie u żony majora Eneberga przeniosłam się z jednego miasta, zwanego Nyköping, do innego. Rygą zwanego. Tam zaślubiłam dzielnego żołnierza, zwanego Anderson. W bojażny bożej żyliśmy skromnie i uczciwie, póki nie spadły na miasto klęski obłędzenia i pomoru. Anderson cichał kilka kobiet ukradkiem wyprowadzić z Rygi... Mnie się nie poszczęściło: wpadłam w ręce rosyjskie... Żołnierze nałożyli mi pęta, wrzucili na wóz i sprzedali tureckim przekupniom.

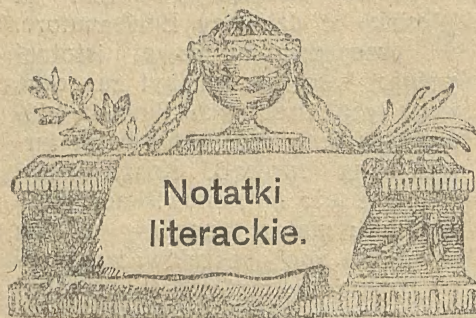
— Mów, mów jeszcze! Czy nie znasz czasem baśni czarownych o Duchu Tańca? Czy jest na świecie rzecz rozkoszniejsza, niż taniec!

Z oczyma przymkniętymi powstała z ławy „Światłość Gwiazdy Zarannej“ i w mgnieniu oka jąta zacząć się rytmicznie. Welon zataczał nad głową tanecznicy kręgi białoniebieskie, do ognia bengalskiego podobne.

— Wiesz, przepowiedział mi Mesjasz Nieuznany, że będę miała dwieście szalów jedwabnych i kiosk, wybity czerwonym adamaszkiem. Wierzę mocno, że to proroctwo się ziści, bo przecież kiedyś zatańczę wobec padyszacha. Wiesz, ty, sypiać po nocach nie mogę, tylko wciąż myślę i myślę... Może już jutro, może po-

jutrze stanę przed padyszachem... Dotychczas nie widywał mnie nigdy... A ty o czymże lubisz rozmyślać? Według mnie, co na sercu, to na myśli! Nie cię nie nęci, powiadasz? Czyżby za wszystkie rozkosze mogły ci starczyć nudne i żmudne ceregiele z papugą? Jak żyję, nie słyszałam, aby to kogokolwiek zadowolniło mogło... Ja uważam za ciężką karę doglądanie tych głupich djabłał pierzastych! Dziwna z ciebie istota, siostró... Nikt nie jest w stanie pojąć upodobań twoich!

Dalszy ciąg nastąpi.



Nauka i uczoney.

Może się to wydać dość dziwnym, że w Warszawie obecnie istnieje bardzo intensywny ruch naukowy. Uczeń polscy nie zważają na wszystkie dolegliwości chwili i ciągną wytrwale taczkę naszego życia na coraz wyższy poziom zainteresowań umysłowych. Dostyć jest spojrzeć na ilość odczytów, przejrzeć publikacje z dziedziny prawa, historii, państwowości — a nawet odcyfrować święto zjawiające się kwartalniki „Przeglądu Filozoficznego“, „Chemika“, „Prawa Cywilnego i Handlowego“, by ze spokojem i otuchą zacząć myśleć o przyszłości. Praca naukowa w Warszawie wre, nie ustępując z pola innym zainteresowaniom.

Świadczy to wybitnie o żywotności naszej narodowej. Co więcej wskazuje, jak płodnym i życiôtwórczo niewyczerpanym jest duch polskości. Bo jednak tylko w takiej atmosferze pracy i myślenia o przyszłości mogła powstać książka prof. Jana Tura p. t. „Nauka i uczoney“. Chodzi tu o wskazanie drogi do prawdziwej nauki młodemu adeptom i kapłanom tej gałęzi ludzkiej działalności.

Prof. J. Tur wyznaje wzniosłą zasadę nauki dla nauki, poznania dla poznania. Wskazuje, że dotychczas w Warszawie w popularyzatorze widziano uczonego. Wyjaśnia, jakimi drogami należy dążyć do nabycia metod pracy naukowej. I twierdzi stanowczo, że dla uczonego polskiego wszechnica polska powinna być pierwszym źródłem wiedzy i poznania.

Prof. J. Tur jest zwolennikiem łaciny. Interesujące też są uwagi autora o „typach psychologicznych pracowników naukowych“. Uważa on, że Oswaldowska klasyfikacja na typy klasyczne i romantyczne jest niewystarczająca. Nale-

żało tylko wziąć pod uwagę polski charakter, nasz specyficzny rodzaj umiejętności pracowania i powiązać go z tymi uwagami. Życie prywatne uczonego prof. Tur wyobraża sobie też, jak swojego rodzaju kapłaństwo, prawość, pracowitość... Zapewne, że nie z wszystkimi wywodami zgodzić się można. W materji tej uczeni na swoim terenie powinni rozwinąć twórczą dyskusję. Wynik jej wprowadzić nie zmieni rytmu garnięcia się do wiedzy ani też nie ostudzi zapału w pracownikach innego pokroju psychicznego, ale bezwzględnie przyczyni się do podniesienia poziomu zainteresowań wśród ludzi, których zaciekawia typ współczesnego Polaka-pracownika...

Książka prof. Tura może być doskonałym i umoralniającym poradnikiem dla młodych uczonych. Pełna jest wiary i optymizmu, co zawsze dodatnio wpływa na młode dusze, chwytne w swoich marzeniach i niezdecydowane w swoich przedsięwzięciach. Studzi też zbytnią pochopność młodej arogancji, której się wydaje, iż wszystkie rozumy posiadała. I powołuje się na wzniosłe słowa Jędrzeja Śniadeckiego:

„Poświęcając się Naukom, poświęciłem się prawdzie...“

Książka prof. Tura powinna się stać miłym „Vademum“ dla głębiej myślącej młodzieży akademickiej.

Zygzaki.

Doktor Tadeusz A. Mischke napisał tom „Zygzaków“, w których porusza zarzysowo najważniejsze zagadnienia i stosunki. Na okładce zamieścił przytem taką uwagę: „czytając myślcie najmniej o autorze, więcej o sobie, a najwięcej o bliźnich i potomnych“. Czem jednak są te „Zygzaki“? Zbiorem różnych publicystycznych myśli, które zapewne ze względu na mętną formę nie zyskały obywatelstwa na łamach jakiegoś pisma. Czy są w nich obserwacje oryginalne? Czy znaleźć można choć intensywność zwiększoną w podkreśleniu jakichś zasadniczych myśli budujących? Nie. Z tego to względu „Zygzaki“ dr. Mischke mają tylko wartość indywidualną. Ciekawe tylko, że dr. Mischke lubi ogromnie ton metafizyczny kaznodziejstwa. Rozumowania opiera na dialektyce słów, które się już tak utarły, że tylko czas mówi przez nie, jak przez zwietrzałe prochy skalne. Na próbę wyjmuję tego rodzaju ustęp. „Jeżeli absolut zginąć nie może, to i jaźn zginąć nie może, która jest jego twórczynią i jego tworem zarazem. Zdaje mi się (!), że już nieraz przypuszczano (!), jakoby nawet świat zewnętrzny, stwierdzalny myślami, właśnie w tej chwili powstał, kiedy go poznajemy, a raczej posługajami. W ten sposób byłibyśmy stwórcami świata, czasu i przestrzeni“. (Str. 35). Rozumowanie to nie wymaga komentarzy i od razu pokazuje, jakiego rodzaju utworem są „Zygzaki“ dr. T. A. Mischke'go.

